

L. Całkosińska

Pokolenie Kelemenów

Przygoda napozór jakich wiele*). Gromadka kolegów z ławy szkolnej (lat 32—4) spotyka się raz na miesiąc w kawiarni. Łączą ich dawne sympatie i upodobania, lecz przedewszystkiem wspomnienia szkolnych „kawalów”. O sobie, o życiu prywatnem wiedzą niewiele, i wiedzieć nie chcą, uciekają od zawodów i zmarłych do dobrych dawnych czasów i tyle im wiadomo, że „chłopcy” spotykają się po to, by pogawędzić o przeszłości i pośmiać się.

Ale oto jeden z nich, Andor Kelemen, przynosi kartkę, wydartą z kolonialnego miesięcznika angielskiego. Fotografia i notatka: „Mr. A. M. Cador, znany architekt, Węgier z pochodzenia, wita władze na inauguracji nowego osiedla, złożonego z 800 willi.” I patrzcie nie tylko, ten milioner Cador to nikt inny, jak Antek Kador, kolega z gimnazjum.

„Od maja 1928 r. mógł dawno spłajnować...”

— Ach, ty gluptasie! — powiedział Marton, czy myślisz, że wszędzie jest tak, jak u nas? Na tej stronie kuli ziemskiej, niema tak suchotniczych egzystencji, które lada powiew może zdmuchnąć...

— A co to właściwie znaczy egzystencja? — Dorzucił Rona, który objął po ojcu, w centrum miasta, pierwszorzędnym magazyn porcelany. — Co ty rozumiesz przez egzystencję? Sądysz z tej reklamy? Czy wiesz, że taka egzystencja to może być zero, bo coż to może znaczyć taki przedsiębiorca wobec... no, na przykład... właściciela plantacji ryżu...

— W Port Elizabeth — przetrwał mu ostro Krah — niema plantacji ryżu!

— Są — upierał się Rona — a jeśli nie ryżu, to bawelny i kawy...

Ale ja nie rozumiem, czego ty właściwie chcesz? — denerwował się Kelemen. Czuł się już dotknięty w imieniu Kadora. — Kawa, czy bawelna, ale chyba nie wątpisz, że on ma duży majątek?

— Duży majątek? To właśnie kwestia, co ty nazywasz dużym majątkiem? To jest względne...

— Względne? — Gluptasie — wolał ktoś. — Jeśli zważymy, że jedna taka willa kosztuje dziesięć tysięcy pengó, to mamy już osiem milionów... Jeśli naturalnie nie wille rzeczywiście do niego należą...

— Co? Dziesięć tysięcy pengó? Już ja Ci je kupię po piętnastci! — Wolał inny.

— A jego podatki, moi drodzy: — zauważył elegancki Amman, uderzając pięścią w stół!...

W atmosferze zazdrości i podziwu piszą koledzy zbiorowy list do Kadora. W odpowiedzi przychodzi wiadomość: Na wiosnę Kador przybędzie z żoną do Budapesztu; chce odwiedzić miasto swej młodości. Wiadomość pada, jak kamień w wodę, zatacza coraz większe kręgi i draży podniecone umysły.

A jeśli to będzie okazja, ta jedyna okazja dla wybicia się? Jeśli Kador pomoże im wyjść z szarzyzny życia? Chłopcy „stawią” w myśli na Kadora, a najrozpaczliwiej, najmocniej chwytają się nadziei Andor Kelemen. To on „o d k r y” Kadora, jemu należy się pierwszeństwo i jedyne prawo eksploatacji. On dopisał się potajemnie do zbiorowego listu, opłatał swemi marzeniami nieobecnego, wysłał nakazy woli, sugestjonował, aż tam, w Port Elizabeth — przygotował duchowo ten przyjazd i snuje się, w które nieświadoma ofiara wpadnie. Niechno tylko przybędzie, a zobaczy, co się da uczynić. Dużo sprytu, trochę szczęścia... a wybije się — Kador też musiał mieć szczęście.

A Antoni Kador rzeczywiście miał szczęście: na froncie, że nie zginął i wrócił z wojny jako pporucznik („robotę swą dobrze umiał wykonać”), odkryty odznaczeniami i ranami; na granicy rumuńskiej, że go nie rozstrzelano; w Budapeszcie, że oskarżonego niesłusznie o komunizm tylko pobito i wyrzucono z Politechniki. W Wiedniu studiował, poznał przyjaciół, miłość i... „małżeństwo koleżeńskie”. W Londynie przymierał głodem, a za dach nad głową i łyżkę strawy służył w węgierskim szynku. A chce żyć! — chce budować, — chce tworzyć... Czasem rozpaczal, czasem dziwił się swej wytrzymałości.

„Ziaro jego życia cicho się mieści między olbrzymimi kamieniami myśli. Czasem jednak kamienie natrafiają na jakiś opór i zgrzytają; gdzieś na samym dnie tkwi jakiś żądło

stali, maleńkiej, lecz nie pozwalającej się zemdlać... Wiem, że się stąd wydostałem...”

I wydostaje się. Jego bezkompromisowość, „zdolność odrzucenia jałmużny, granicząca z bohaterstwem, „wszystko lub nic” w stosunku do życia, przynoszą Kadorowi szczęście. Życie uśmiechnęło się, dając wszystko: i szczęście: w postaci kochającej (po tyłu innych) mądrą kobietę — żony; powodzenie i fortunę jako widomy znak zwycięstwa tego, który pracy nie lękał się, pragnął i szukał...

Tak, bezsprzecznie Kador miał szczęście.

A teraz przyjechał do Budapesztu. Jest wiosna i słowiki, muzyka cygańska i sam Budapeszt „trochę jak dekoracja”. Ale przedewszystkiem — jest dwudziesto-

letnia Jola — przygoda. I choć to tylko traf — to, że Jola Kelemen podoba się Antoniemu, Andor widzi w tem zrzadzenie losu. Już wie, w jaki sposób wygra swój wielki los. Już wie, że może zająć wszystkiego: — stanowiska, bogactwa, zaszczytów. Owoc pracy Kadora dostaną się w udziale Kelemenom. I rodzeństwo rozgrywa swą wielką życiową grę; ostrożnie i przebieżnie.

I właśnie w chwili, gdy pewni są wygranej, Jola popełnia błąd psychologiczny. Wszystko — mówi — albo nie, akurat to samo, czego żądał ongiś sam Kador. I przegrywa. Bo podczas, gdy Kador jest dla niej synonimem tego wszystkiego, tysiąca możliwości, kryjących się poza małżeństwem i nim, ona będzie dla niej

go jedynie „przygodą”, której nie składa się w ofierze ani honoru męskiego, ani wierności będącej własnością innej, tej, której wszystko zawdzięcza. I Antoni wyrzyna się z sieci Kelemenów; gdyby wiedział o rozmachach kłeski rodzeństwa, możeby mu pozostawił garść tego — na czem im najwięcej zależy, — złota; ale nie wie i odchodzi. Do Afryki, do Falconi, do domu, do ciszy i pracy.

Ale nie wszyscy. Bo oto świadomość przegranej, z mózgu przedostała się do serca Kelemenów i sumienia. Jakże nisko upadł, układając ten plan, stracił własną siostrę, gotowy na... podłości. A jeżeli był zdolny do tego — jak daleko może jeszcze stoczyć się? I Kelemen popełnia

samobójstwo; jedyny czyn rehabilitujący go we własnych oczach, jedyny akt wiary w to, że jest w nim jeszcze coś, co warto uratować przed zagładą. Nie z poczucia ohydy swych czynów, lecz lęku przed tem, jakich może się dopuścić. Bo poto by popełnić samobójstwo trzeba przedewszystkiem mieć szacunek dla samego siebie. Nie popełnia się go, z uczucia obrzydzenia...*)

„...Padłem, mogłem też paść na wojnie. O wielki Boże, przebac mi — myślę tonąc — nie gniewaj się na mnie. Chciałem inaczej. Nie wiedziałem, że nie potrafię urządzić sobie życia, a to potrafię z niem tylko skończyć, a nawet nie to, tylko je zaprzęścić... Nasze pokolenie wogóle nie nadaje się do życia. Nie może, nie umie

*) Michael Matureio: Les Traqués.

Jan Bajkowski

O b o k ż y c i a

Przeglądałem kiedyś jedno z wydawnictw niemieckich z zakresu plastyki. Tomów było naturalnie bardzo dużo, a wszystkie bardzo grube i bardzo brzydkie, bo sprzed lat mniej więcej trzydziestu. Wewnątrz setki barwnych ilustracji, jednakowo nuzających i jednakowo bezbarwnych. Wydawnictwo poświęcone w zasadzie sztuce międzynarodowej nosiło właściwie charakter przeglądu malarstwa niemieckiego. Musiało ono przecież dominować... W rzeczywistości przynajmniej tylko swoją liczbą, jednakowym brakiem smaku, koloru, jednokową fakturą, jednakowym patosem utytułowanych dostojności tytułów naukowych nazwisk, które nigdy nawet nie przekroczyły granicy popularności, nie mówiąc już o stawie.

Nagle spojrzało na mnie czworo wyraźnych oczu jasnego renoirowskiego obrazu. Doznałem takiego wrażenia, jakbym na chwilę otworzył okno i wpuścił do wewnątrz trochę świeżego powietrza. Trochę i na chwilę. Bo potem znowu zaczęły się reprodukcje niemieckie, nudne, dostojne, okropne!...

Często wracam myślą do tych oczu. Tyle nasuwają refleksyj! Są przecież dowodem ogromnej zasługi impresjonizmu, są jednak i początkiem całego owego nadmiaru rozmaitych zagadnień formalnych, które źródło tworzenia umieściły jedynie w ośrodkach mózgu. Wolę to już z dwójką złego, aniżeli łapy i tylko łapy malarzy przedimpresjonistycznych, jednakowo beznamiętnie miesających wieczność te same farby, przygotowane na wieczność te same „sceny rodzajowe”, portrety i im podobne dzieła. Tylko dlaczego konieczność „z dwójką złego”? Przecież w sztuce nie decydują jedynie ręce albo mózgi, ten mózg, który nas wprowadził w błędne koło za gadnień formalnych, z którego ani na chwilę nie możemy się wydostać. Dla ratowania sytuacji przypominano o treści, oczywiście i tym razem w formie zagadnienia. Skutek to miało taki, że poczęto biegać w kółko, powtarzając skolei na przemian słowa: treść i forma...

Bo też trzeba przyznać, że z treścią to nie jest taka łatwa sprawa. Zestawiona z rozwiązaniami natury formalnej pasuje od nich niejednokrotnie, jak ów przysłowiowy garbaty do ściany.

Weźmy chociażby sztukę religijną. Pozostawiona od lat kilkudziesięciu na uboczu, degenerowała się dalej w swoim akademickim klasycyzmie, aż wreszcie przeszła w ręce rozmaitych wyrabiaczy obrazów, fabrycznych poprostu producentów. Jeszcze się rzucili na polichromię kościelną malarze z okresu secesji; dawali im to przecież duże pole do wymyślnego ornamentu. Cennym dzisiaj te dobre chęci, pozostałości jednak zapału — mniej.

Całą karykaturę takiego stanu wyczuwa się już powszechnie. Jakże jednak liche, nieporadne i niepoważne są wszelkie próby! Pokazywał mi jeden z młodych

architektów reprodukcję postaci Chrystusa w jednym z nowych kościołów niemieckich, ciekawie skomponowaną z blachy miedzianej. Podziwiając naprawdę wartościową, o dużym poziomie kompozycję, podziwialiśmy jednocześnie tupet umieszczenia jej na ołtarzu; w żaden bowiem sposób przed tym krucyfiksem nie można było modlić... W tem sek! Sek, czyli jeszcze jedno zagadnienie, włączone do tej ca-



NAGŁA DEPEZA!... PILNA SPRAWA!...
SPOŹNIENIE GROZI CI KŁOPOTEM,
LECZ SZYBKO MIJA TWA OBAWA,
GDYŻ WIESZ, ŻE ZDĄŻYSZ SAMOŁOTEM.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

ANTONIEWSKI S. DR.: Oplacność kierunków w drobnych gospodarstwach. Cz. I. Trzechlecie dobrej koniunktury 1927 — 1930. 8° str. 243. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 5.50.

BANACH S., SIERPIŃSKI W., STOZEK W.: Arytmetyka i geometria dla VI kl. szkoły powsz. z 81 rys. 8° str. 160. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 1.40.

BAL A. INŻ.: Gospodarka mleczna. III. Serowarstwo z 45 rys. 8° str. 94. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 2.40.

BRZOSKO-GUDERSKA J.: Choroby pszczoł i ich zwalczanie z 20 rys. 8° str. 61. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 1.40.

BUZOWSKI ROM. J.: Pierwsze wyniki powszechnego testowania. 8° str. 58. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 1.20.

CZAJKA J.: Informator administracyjno-podatkowy. 8° str. 63. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 1.40.

CZERNY A. L.: O wojewodzie Gwilenie Krzywonoście. Powieść rycerska. 8° str. 355. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 9.00.

FALSKI M.: Czytanka dla kl. II szkół powsz. miejskich 8° str. 143. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 1.10.

Fermentacja tytoniu. W opracowaniu INŻ. J. TROJANA, INŻ. S. SŁPIERSKIEGO i INŻ. W. LEŚNIAKA z 45 ilustr. 8° str. 136. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 3.00.

GAERTNER H.: Mowa polska. Podręcznik do ćwiczeń językowych dla VI kl. szkoły powsz. 8° str. 31.

lej gromady innych, wokół których wciąż drepczemy, wciąż i wciąż.

Nie uratują sytuacji i tematy podawane z zewnątrz. Przeciwnie, nawet ją pogarszają. Może właśnie dlatego, że są dyktandem, narzucaniem, a nie stanowią wewnętrzną potrzeby wypowiedzenia się artysty.

Tu odnajdziemy też drogę, którą zasięg współczesnego pa-

stwa pragnąłby zmonopolizować sztuka, sprowadzając ją do roli użytkowego przedmiotu. Tu jest droga do usadawiania się płytko i fałszywie pojętej sztuki narodowej, przejawiającej się w tem, co pospolicie nazywamy „malowaniem krakowiaków”, tedy wlaźła sztuka, zachylająca się maszyną, miastem, sztuką t. zw. proletariacką, nie będącą w gruncie rzeczy niczem innym, jak tylko nowostką, stworzoną dla dreszczyku... burżuazji; proletariata bowiem wcale jej nie pragnie i nie rozumie. Czyż może się domyśleć, że w tym zawiłym steku rozmaitych znaków pisarskich, całej formalnej łamigłówki mieści się jego nędza, głód i ciężkie życie? Tędy wreszcie wkroczyła wczorajsza rewolucyjność niezdolna już dzisiaj nikogo przejąć, wzruszyć, a szczególnie przerazić.

Tak się maluje, pisze, tworzy, gdy się nie chce widzieć wielkiego gościa, po którym idzie życie. Dlatego brak jest sztuce wyrazu, brak jej mocy, wielkości, a przedewszystkiem — szczerości.

Ale może ten ostatni zarzut nie jest taki słuszny, może to tylko pozory, zbytnie, krzywdzące uogólnienie? Może... Widocznie szczerzy głos ginie w gestwinie problemów formalnych. I tu się rodzi reakcja zwrócona przeciw tej pozycji, jaką sobie forma ostatnimi czasy zdobyła. Reakcja w gruncie rzeczy nawet śmieszna, ale zupełnie zrozumiała. Bo i czy nie wytworzyła się sytuacja wręcz paradoksalna? Czy rozwiązywanie zagadnień formalnych nie odsuwało ich bez ustannie od życia i nie umieszczało w końcu renoirowskich dziełczynek w ciężkich, pluszowych ramach „zapinanych na guziki”, ozdóbnych świeczków, bezgustownych złocen i całej tej ogromnej, rozpanoszonej, bogatej brzydoty?

Jakże mi jest żal tych oczu, patrzących z przerażeniem i smutkiem na pozbawiony wszelkiego smaku „salon”, na te akamity, kotary, draperje... Mam wrażenie, że usłyszę nagle ostre kaszel biednych płuc, zmuszonych odychać kurzem czającym się w tem wszystkim. Nie można było, wglębiwszy się w zagadnienia malarstwa stalugowego, zapomnieć o kształcie chociażby tych — stalug. Prawda, sztuka dzisiaj dotyka już każdego sprzętu. I nawet dużo zawdzięcza owemu laboratorium, jakim stał się, był i jest jeszcze nadal obraz. Tylko, że ten nawet nie chce uznać swej zasługi. Nie wie może o niej, gdyż stwierdziło ją życie, od którego odbiegł daleko. Sam przecież w rozwiązywaniu swoich zagadnień doszedł do samobójczego wniosku, że jest na tle nowego wnętrza czemś zupełnie zbędnym. A to nieprawda.

Obraz jest potrzebny, tylko nie może tkwić ciągle i nadal w laboratorium, zamkniętym na siedem spustów. To co kiedyś było prądem świeżego powietrza — sam — dzisiaj z jego braku zaczyna dusić. A przecież wystarczy tylko się zdecydować na wejście w życie. Nic więcej.

wziąć się do niczego, ale naprawdę, nie jestem winien, nie tak, wcale nie tak chciałem, Boże! Nie gniewaj się na mnie, pozwól mi wrócić czystym do Ciebie, spokojnie jak do domu...”

Taka jest to przygoda, mogąca się wydarzyć w każdym innym mieście powojennej Europy. Znamienna rzecz: niema w tej opowieści ani żółci, ani goryczy, ani pretensji, raczej zdumiewający umiar i prostota.

Tem znamiennejsza, że wiemy dziś wszyscy, jak Kórmendi szukał pracy, prosił i kołatał o nią, a nie dano mu, przymierał głodem, a nie nakarmiono. Wówczas zaczął się i o zimnie i głódzie napisał tę, z rozpacz powstałą, niesfałszowaną, prawdziwą książkę. Kiedy się o tem pomyśli, cała „Przygoda” ukazuje się w zupełnie nowym oświetleniu. Świat jest pełen takich Kelemenów, na dziesiątki tysięcy Kadorów, i nędza bezrobocia jest pełna grozy. Ale gdy pomyśleć, że jednym z nich był autor, to każda karta, każda scena nabiera nowego znaczenia...

Może zresztą nie był... Może tyłko wahał się pomiędzy „być albo nie być” jednym z nich. Musiał chodzić przez długi przeciąg czasu wśród takich Kelemenów, odychać tem samym powietrzem, drzeć, że jeszcze chwila a upadnie i stanie się jednym z nich. Musiał być wdzonny na pokuszenie, walczyć i lękać się. Kto wie, może wolał w lęku: „O, Boże, raczej pozwól mi zginąć, niż się spodlić...” A w okrzyku tym nie ma nic z modlitwy faryzeusza, nie z świętobliwego oburzenia, jedynie lęk człowieka zawiesłego nad przepaścią...

Lecz z drugiej strony tkwiła w nim widać okrucia kadorowskiej stali, która nie pozwoliła mu zginąć. Może też nosił w sobie wspomnienie takiego napotkanego Kadora, człowieka — powodzenia, może tylko był to ideał jego marzeń młodzieńczych o zaspokoieniu ambicji męskiej. Nie wiem. I nie wiem, z jakich przeżyć powstały te fascynujące sceny, ta gra Andora o stawkę, i ta bez porównania groźniejsza walka Kadora o życie, o byt, walka z Heleną o wszystko, wszystko lub nic, człowieka, który nie chce żyć w przeciwności. Wiem jednak, iż pisał to wówczas, kiedy ludzie obojętnie i beztrosko odwracali się od proszącego.

I to właśnie ta świadomość jest miarą wartości Kórmendiego. Niema w nim cienia nienawiści, niema w nim zaślepienia. W rozpacz i beznadzieję, na przekór sobie, swemu życiu, potrafił żyć poezją, zachować młodzieńczą wiarę — i jednemu Kadorowi, postawionemu wobec armji Kelemenów dać pełnię zwycięstwa.

A pokolenie Kelemenów czyta „Przygodę”, widzi w bezstronności autora rzeczniczkę swej sprawy i powtarza z Andorem:

„Tak to prawda, — przeklęta wojna. Gdyby nie ona byłbym może jak ojciec mój, kupcem, adwokatem, profesorem... możebym zaszedł dalej... Może mam zdolności i talenty, o których nie wiem, nie dano mi ich rozwijać... Zrazu po wojnie mówiono mi, że nie doświadczenie, lecz spryt i szybka orientacja decydują o powodzeniu... I że fortun powstało w ten sposób. Potem — zaczęto nam tłumaczyć, że tylko specjalista — fachowiec może się wybić nad innych... — było zapóźno... Dziś, nawet praca jest czemś nieosiągalnym. Niema pracy, — niema pracy dla nikiego człowieka...”

Nie, nie mogą się zgodzić z tem, by „aktualność” takich książek była wrogiem trwałości.

Ci co szli i z Remarquem na front i załamali się, przeżyli z Kórmendim gorycz bezrobocia, odnajdą zawsze z nim kontakt. Jak długo pokolenia wojennego, tak długo trwać będzie aktualność tych powieści. Za lat parę będą pokazywać je dzieciom, wychowany w kulcie pracy, jako rzeczowy dowód swej słuszności, — dokument prawdy. Za lat kilkadziesiąt... za te kilkadziesiąt lat, ktoś napisze ostatnią część Sagi Kelemenów, i to najboleśniej ich dotknie, — własne dzieło „spece zawodowe”, zarzuca rodzicom ich nicość i powstana przeciw tym, którzy nie umieli przekazać im żadnych dóbr, ani duchowych, ani materialnych i wówczas Kelemenowie się skończą...

*) FR. KOERMENDI: „Przygoda w Budapeszcie”. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff.